



Być – jak w Koloseum

Andrzej Górny

Eric Coble **Trup**

przekład: Jacek Kaducza

reżyseria: Paweł Szkotak

scenografia i kostiumy: Agnieszka Zawadowska

aranżacje muzyczne: Krzysztof Nowiko,

opracowanie muzyczne: Bartosz Borowski

Teatr Polski, Poznań, prapremiera polska: 6.03.2010

fot.: Krzysztof Bieliński

Poznańskie przedstawienie to dość dotkliwy policzek wymierzony kulturze masowej, czy jak kto woli: popkulturze. Rzadko się zdarza, aby teatr schodził z piedestału sztuki wysokiej i poświęcał swej siostrze (a może tylko kuzynce, bo sporo czasu upłynęło odkąd się rozdzieliły; a może nigdy to nie była miłość?) tyle uwagi. Trochę to zapewne rewanz za inne sztuki, na przykład film, w tym przypadku nie trzeba się męczyć nad uczonymi tekstami, pisze się po prostu, ile milionów dolarów zarobił i wiadomo – idę, grosik swój dołożę, nie wypada bowiem być gorszym. Nareszcie jedno z podstawowych haseł minionego ustroju, dostępność kultury, zostało zrealizowane. Wtedy, o dziwo, się nie udało. W demokracji już nie wola Sekretarza czy uchwała Komitetu Centralnego, lecz Rynek pomógł. Za równanie w dół do jak najbardziej powszechnych gustów nikt nie odpowiada, co najwyżej anonimowa ręka tego Rynku. Oglądalność jak miecz Damoklesa wisi nad każdym, kto chce poszaleć obrazkami na ekranie lub na żywo i powiedzieć, że nie wszystko ani proste, ani zabawne. Komu chce się tego słuchać?! Kiedy jednak z „wysokości” coś próbujemy powiedzieć, co w tej kulturze piszczy naprawdę, to w planie nauki, owszem, można dużo i ciekawie, lecz wtedy wszystko pozostaje na ogół w murach cytadel uniwersyteckich, a zresztą jak tu strzelać z grubej, decydującej o wszystkim armaty do niefrasobliwej popkultury, która z reguły umyka ciosom?

Piszę o tym, bo Teatr Polski w Poznaniu, gdzie spotykamy się ostatnio z dziełami Michaiła Bułhakowa czy Jarosława Iwaszkiewicza albo Biljana Srbljanovića, sięgnął tym razem po propozycję teatralną, która daje szansę krytycznego dialogu ze zjawiskami popkultury wyzwalając się, jak się tylko da, z intelektualnych ambicji i ograniczeń formy, kiedy ku skwapliwej przyjemności widzów próg dzielący od życia zdaje się zacierać, wręcz zanikać. Bo takim zlu-

dzeniem właśnie przyciąga reality show. Można mieć wrażenie, że przyłapuje się to życie na gorącym uczynku, i to jak najtańszym kosztem, bez trudu emocjonalnego i duchowego przeżywania, które by nas jeszcze na swój sposób egzaminowało. Któż lubi być egzaminowany, jeśli może być przyjemnie i wesoło?

Tak. Niełatwo wdać się w polemikę, a co dopiero ujawnić tę drugą odwróconą twarz nieustającego dobrego samopoczucia, którym popkultura chce nas obdarować na wieczną chwałę naszego – jakżeby inaczej – fascynującego losu. Więc może rzeczywiście trzeba być najpierw „trupem”, aby się udało?

Coble nie buduje wymyślnej intrygi dramatycznej wokół powstającego reality show – jego sztuka to rodzaj reportażu teatralnego. Reżyser Paweł Szkotak idzie dokładnie tym tropem. I słusznie. To jedyna droga, aby wystawienie tej sztuki miało sens. Fantasmagorii reality show reżyser nie próbuje przeciwstawić niczego, co miałoby ją demaskować, obnażać nicość kulturalnych uciech, jakie zdemokratyzowana, zrównana do najniższego poziomu działalność oferuje ludziom w czasach względnej pomyślności (na taką formułę ostatnie 20-lecie chyba zasługuje...). Żadnego dystansu, cienia ironii, lekkiego choćby brania w cudzysłów – ma być tak, jakby reżyserowi przedstawienia udzielił się zapał Giny Yaweth (Ewa Szumska), pomysłodawczyni i zarazem prowadzącej reality show. Jedyne, co może w tej sytuacji rzeczywiście skompromitować oglądany w spektaklu program – to osąd bezimiennej milionowej publiczności, jeśli zareaguje niezgodnie z oczekiwaniami prowadzącej, to będzie skończona, a stojących za nią mocodawców zniechęci do takich pomysłów.

Gina, aby zapewnić sukces swojemu programowi, wybiera na bohatera małomiasteczkowego +

nieudacznika Eldona Phelps (Łukasz Chruszcz), młodego człowieka bez jakiegokolwiek perspektywy na przyszłość, który nie ma żadnych złudzeń co do swojego losu i swej wartości, czyli kogoś, kto za życia jest już poniekąd trupem. Tylko bowiem ogromna dysproporcja intelektualna, dzieląca autorkę i bohatera jej programu nierównowaga nie do przekroczenia pozwala na stosunkowo swobodne nim manipulowanie, tak by przykuć miliony do telewizorów. Bo jedyne, o co naprawdę chodzi – to liczba widzów. Wielkość tej liczby. Jest to bezmiennosc, to prawda – ale jest to też morze bezmiennosci, kiedy rosnąca ponad miarę liczba przestaje być czymś, co się rozumie, zaczyna być jak niepojęty ogrom zagarniający swą dziwną magią nawet dotąd nieprzekonanych. I tak matka Eldona (Barbara Krasińska) początkowo ocenia propozycję miliona dolarów za tydzień życia syna, po którym musi umrzeć, jako niedorzeczną i wycofuje się w swą biedę, w swoje outsiderstwo, jedyną realność, w której ma oparcie. Z dnia na dzień odnajduje jednak swoje „ja” wobec milionów zainteresowanych tak niespodziewanie jej synem. Uwodzi ją magnetyzm ludzkiego nieograniczonego zainteresowania. Nagle ma tyle do powiedzenia o sobie, chce nawet pisać książkę. Christy (Anna Sandowicz), która rzuciła Eldona, odnajduje także sens w chwilowym blasku ślubnej bieli, bijącej w oczy z ekranów w milionowym pomnożeniu, choć przecież na początku rzeczowo oświadczyła, że nie będzie 21-letnią wdową.

Czarodziejska moc niewidzialnej widowni działa przede wszystkim na bohatera programu, samotnego na tej szczególnej arenie, gdzie jego życiu miliony nie tylko się przypatrują – mają także wybrać rodzaj śmierci, na jaką bohater zasłuży. On, urzeczony fortuną, zrazu pojmuje to jako dane mu – wprawdzie na bardzo krótko, bo tydzień – ale jednak wyzwole-

nie; i oddaje się bez ograniczeń uciechom życia. Ale owe uciechy jako zachowania nazbyt spowszedniałe w zdemokratyzowanym do cna społeczeństwie nie gwarantują Ginie wzrostu oglądalności. Trzeba szukać stale czegoś innego, choćby największego głupstwa, byle zostało zauważone. Czasem odwrotnie, Gina szuka sytuacji, momentów, kiedy ujawnia się poczciwość, prostota czy nieporadność. Eldona z kolei kłuje lęk, jak ocenią to niewidoczne, ale za to widzące go dobrze miliony. Bo może jednak jest jakaś szansa, aby nabrali do niego sympatii i darowali życie, a przynajmniej wybrali łagodny, bezbolesny sposób umierania z kilku zapisanych w regulaminie programu, które publiczność zna doskonale z filmów (np. piła mechaniczna). Eldon przeżywa więc moment wewnętrznego buntu przeciwko samemu sobie. Gina wykorzystuje chwilę i podprowadza go do rozwiązania – Eldon odnajduje w sobie wolę, aby wreszcie być kimś innym. Dougie (Piotr B. Dąbrowski) z ekipy Giny kręci materiał, żeby natychmiast pokazać publiczności, jak oto beznadziejność ludzka może zostać przełamana i człowiek, który za życia czuje się na poły trupem albo później błaznem wśród przyjemności Disneylandu – zmienia się, odzyskuje wolę czynienia dobra nie dla siebie, lecz dla innych. Co więcej, niewidoczna mnożąca się publiczność ma prawo być świadoma, że dzieje się tak dzięki temu, iż to ona bierze w tym udział i wydaje każdego dnia osąd. Dougie ściśle wedle instrukcji Giny pilnuje tego z kamerą. Oglądalność pnie się niepowstrzymanie w górę. Eldonowi trudno nie uwierzyć, że świat może być inny niż jest. Że może być lepszy. Ma ochotę, pieniądze – ale zbyt mało umie i wie o życiu na miarę możliwości finansowych, jakie zyskał i ogromnej, przerastającej wszystko popularności, jaką zdobył. W szpitalu dla dzieci powoduje więcej zamieszania niż udziela rzeczywistej pomocy. Ciągnie za nim tłum reporterów, dziennikarzy, zwolenników,

choć i przeciwników także, bo to przecież są pieniądze uzyskane za cenę samobójstwa, które musi nastąpić w niedzielę. Jedyne Pielęgniarka (Magdalena Planeta) nie daje się zwariować, stawia sprawę twardo, Eldon pomoże dzieciom najwięcej wówczas, kiedy z tego szpitala zniknie. Bohaterowi nie wychodzi pomaganie, traci entuzjazm, opada z niego energia. Gina, aby przywrócić jego pozytywną aktywność i utrzymać dynamikę rosnącej oglądalności, sięga po jedyne go haka, ale pozytywnego (!), jaki ma w zanadrzu – miłości. A pora akurat właściwa, śmiertelny finał tuż, tuż. Gina naciąga Christy na zwierzenia przed kamerą. Tak, Christy wyznaje, że jest smutna, ale i szczęśliwa, bo widzi, że Eldon się zmienił, dojrzał. Jest ludzki, emanuje z niego prawdziwe człowieczeństwo. I tak na oczach milionów to reality show czyni ze zwykłymi ludźmi cuda – każdy dojrze do pełni swej mądrości czy nawet losu. Bo arena wyciśnie z każdego wszystko, co trzeba, od porywu niskiego lotu aż po wysokie loty ducha i spożytkuje to na chwałę nieustającego dziania się, którego miliony ludzi czują się sprawcami. Czy mogą być wspanialsze chwile złudzenia, kiedy anonimowi, wzajemnie sobie nieznani odnajdują w tych ogromnych liczbach uczestnictwa swą wspólną wolę, po prostu wspólnotę? To tak jakby nieznane, a jednak obecne (czymkolwiek to jest w wyobrazeniach) oddawało im pełnię władzy nad człowiekiem, a nie Gina. Bo przecież podobno z powodu publiczności i dla nich samych to się dzieje. Kiedyś w 50-tysięcznym Koloseum zwycięski gladiator z mieczem na piersi pokonanego czekał na znak: kciuk w dół albo jasna chusteczka uniesiona w górę. Cesarz Imperator i August w jednej osobie rozglądał się wokół, jakie życzenie ma lud Rzymu, który obok należnego mu daru zboża i oliwy miał też swój udział w akcie je-go świętej władzy skazywania lub darowania życia.

Teraz Gina prowadząca reality show odczytuje wyniki głosowania, jaką śmierć publiczność wybiera dla Eldona i wydaje się jej, że jest u celu, zapisuje dowód swojej władzy. A jednak z całą wiedzą wyjątkowo sprawnego manipulatora nie uwzględniła jednego: że była też, jak bohater jej programu – na arenie. I to ona robiła z Eldonem, co chciała. Trudno, żeby miliony oglądające jej program nie miały tego zrozumieć i ocenić. A te miliony nie były fizycznie na arenie. Wykluczone, żeby je złapać za rękę, tak jak Ginę. Więc na nią jedną musi to spaść. Większość głośnie, że ona ma wykonać wyrok śmierci. Szok. Gina nie wie, co robić. Wali się jej reality show. Dała Eldonowi szczęście na tydzień i teraz ona musi go zabić, pożreć własne dziecko, które, rzecz można śmiało, stworzyła i nawet nie ukrywała, że jest z tego dumna (bardzo wiarygodnie zagrana przez Ewę Szumską końcówka spektaklu).

Nie za często się zdarza, aby publiczność tak niezwykle trafnie ingerowała w przedstawienie, w tym wypadku wtórując teatrowi. Miałem okazję być tego świadkiem na jednym z pierwszych popremierowych spektakli. W momencie, kiedy Gina czytała wynik głosowania, które wskazywało na nią jako na sprawczynię, wybuchła burza oklasków już nie tej niewidocznej milionowej widowni, lecz publiczności przedstawienia, która zaangażowała się, jak się to mówi, maksymalnie. To był poruszający moment, ta jasna i zdecydowana deklaracja widzów Teatru Polskiego. I przyznam, że wtedy dopiero nabrałem absolutnej pewności do tego, co w tym tekście piszę.

A przecież nie był to ostatni moment tego przedstawienia demaskujący rzeczywistość reality show. Gina szamocze się ze sobą, ale nie ma wyjścia. Wola milionów to jak wyrocznia, której nie wolno zlekceważyć. Strzela. Eldon umiera. Nad nim rodzina robiąca za publiczność +

w studiu. Gina biega półprzytomna. I wszędybylska kamera, nieodparcie obecna, nieubłagana, zapisuje wszystko bez litości. (Dyskusyjna wydaje się jedynie nadmiernie manifestowana ruchliwość ekipy filmowej w pierwszej części przedstawienia). Stacja telewizyjna przez komórkę przywołuje Ginę do przytomności: Rób coś! Jesteś na wizji. Gina zbiera się w sobie. Zbierają się wszyscy. Muszą. Miliony patrzą! Co znaczy jednostkowe przeżywanie w takiej sytuacji! Kończy się program. Uczestnicy i pracownicy, trzymając się za ręce, wychodzą do swych widzów na pożegnanie. Mocna triumfująca muzyka po tygodniu przeżyć i pracy pełnej napięcia. Między nogami żegnających się z nami widać prześwitującą z daleka, leżącą nieruchomą postać Eldona Phelps'a. Powoli zaczynamy się zbierać do oklasków, ale jeszcze nie jesteśmy pewni, czy przedstawienie już się skończyło, czy jeszcze trwa.

A wysoko w górze, gdzie widzieliśmy fragmenty filmowe i zdjęcia reklam (czy telewizja może się bez tego obyć?), jest w czasie tego pożegnania zdjęcie Eldona Phelps'a, legitymacyjne, ale ogromne. Widoczna ma być przede wszystkim twarz. Duża, unieruchomiona jakby podwójnie, bo i tym, co się przed chwilą z nią stało. Żeby mogła się mimo tego do nas zbliżyć czy tylko przypomnieć swą zwykłość, jakby już gotową do obumierania. Twarz, która niezdolna jest, by złożyć się czy ukształtować w jednoczący i ukierunkowany jej wyraz. Ale oczy Phelps'a proszą, mają ludzką tkliwość istoty bezbronnej i to tak mocno w nich zapisałą, jakby chciały ją wyrażać także w imieniu innych bohaterów reality show. Ten moment kreacji Łukasza Chruszcza zapamiętam na długo. ●

Getto w twierdzy Europa

Goran Vojnović
Czefurzy raus
 przełożył Tomasz Łukaszewicz
 Wydawnictwo Międzymorze
 Gdańsk 2010

Wydanie wspiera
CzasKultury

